



# Nie sprzedaje się duszy

Z Maciej Frankowskim, gnieźnieńskim fotografem, właścicielem zakładu usługowego „Fotoplastyka” – rozmawia Krzysztof Szymoniak

**– Twój związek z fotografią jest efektem przypadku, świadomego wyboru, czy może zadziałała tu inna jeszcze okoliczność?**

– Jednoznacznie określić tego się chyba nie da, ale jest to raczej efekt zbiegu różnych okoliczności. W każdym razie moja przygoda z fotografią zaczęła się w Gnieźnie, gdy byłem w szóstej klasie szkoły podstawowej. Pamiętam, że dostaliśmy wówczas zadanie, aby napisać jakieś opowiadanie na temat lasu czy ogólnie na temat otaczającej nas przyrody. Opowiadanie to wzięło udział w wojewódzkim konkursie literackim. Napisałem więc to opowiadanko, szkoła je wysłała do Poznania, a po pewnym czasie okazało się, że dostałem za ten tekst jakąś nagrodę. A tą nagrodą był piękny album fotograficzny Włodzimierza Puchalskiego „W krainie łabędzia”. Do albumu otrzymałem wpis od ówczesnej Ligi Ochrony Przyrody i od razu zauroczyły mnie zdjęcia zgromadzone w tej książce. Nie myślałem wtedy, żeby zostać fotografem, ale bakcyła najwyraźniej złapałem.

**– W czasach, o których teraz mówimy, ciemnia fotograficzna była normą i oczywistością. Pamiętasz swój pierwszy kontakt z tym miejscem?**

– Pierwszy kontakt z ciemnią miałem też jeszcze w czasach szkoły podstawowej. Chyba z czystej ciekawości poszedłem na zajęcia kółka fotograficznego do Młodzieżowego Domu Kultury. Początkujący uczestni-

cy zajęć, tacy jak ja, pracowali wtedy w tym kółku na małej kopiarce fotograficznej, na której robiliśmy stykowo odbitki czarno-białe z filmów 6x6, zakładanych do aparatu „Druh”. Z taką to skromną wiedzą i taką fascynacją poszedłem do gnieźnieńskiego ogólniaka. Wtedy już trochę mocniej korciło mnie, aby poprobo-  
wać poważnej fotografii.

**– W twoim domu rodzinnym były jakieś tradycje fotograficzne?**

– Tradycji nie było, Ale ojciec, który zarabiał na życie jako agrotechnik, robił dużo zdjęć małym niemieckim aparatem. Wiem z rodzinnych opowieści, że gdy moi rodzice byli w czasie wojny wysiedleni do Generalnej Guberni, a konkretnie do Krakowa, to ojciec stale nosił przy sobie ten aparat i ciągle coś nim fotografował.

**– Wiadomo, co to był za aparat?**

– Tak, mam go do dzisiaj. Na korpusie widnieją inicjały FD, a przy obiektywie widać słowa COMPUR Monachium. Ładowało się do niego nietypowe wtedy, a od lat 60. XX wieku nie istniejące już filmy 4,5 x 6,5. Tak więc nie żyłem na fotograficznej pustyni. Pamiętam i to, że ojciec dokładnie opisywał na odwrocie każdą odbitkę swoich zdjęć, jaką przynosił do domu. Pierwsze zdjęcia, jakie „pstryknąłem” własnoręcznie, zostały wykonane tym właśnie aparatem, a wywołał je gnieźnieński fotograf, pan Macioszek.



**– Przeszedłeś na świat w Krakowie, jako syn przesiedleńców wypędzonych przez okupanta z Wielkopolski. Po wojnie twoi rodzice osiedlili się w Gnieźnie. W której części miasta się wychowywałeś?**

– Do końca lat 50. mieszkaliśmy przy ulicy Mieszka I 15 (wtedy to się nazywało „Mieczysława”), vis á vis starej mleczarni. Gdy ojciec przeszedł na rentę, postanowił wrócić na ojcowiznę i wtedy zamieszkaliśmy na wsi, w Pyszczynie koło Gniezna. W ten sposób wszedłem w okres ciężkiej harówki całej rodziny na podupadłym gospodarstwie, ale ojciec dawał sobie jakoś z tym wszystkim radę, choć nie były to czasy sprzyjające dla indywidualnego rolnika.

**– Ten pierwszy aparat, z którym miałeś fizyczny kontakt, aparat ojca, był stale w zasięgu twojej ręki?**

– Był w zasięgu mojej dziecięcej ręki w takim znaczeniu, że ojciec pozwalał mi robić nim zdjęcia. Ale ponieważ w domu nie było ciemni, na pstrykaniu kończyła się moja edukacja, bo resztą zajmował się pan Macioszek. Pierwszy własny aparat kupiłem dopiero wtedy, gdy poszedłem do I LO, do tak zwanej „16”, która w tamtych latach była szkołą męską, w przeciwieństwie do II LO, które było wtedy szkołą żeńską.

**– Edukację na poziomie średnim rozpocząłeś w Gnieźnie, ale zakończyłeś ją w Gdyni-Orłowie, w tamtejszym Liceum Plastycznym. Jak do tego doszło?**

– Gdy poszedłem do pierwszej klasy liceum, wiedziałem już, że ciągnie mnie do fotografii, że to jest poważna sprawa, od której może zależeć moja przyszłość. W trakcie roku szkolnego postanowiłem przenieść się zatem do jakiejś szkoły średniej o profilu fotograficznym. Do

poznńskiego Technikum Fotochemicznego przenieść się nie mogłem, bo tam przyjmowali tylko po szkole podstawowej. Wymyśliłem więc sobie, że przeniosę się do Trójmiasta, a konkretnie do Gdyni-Orłowa, gdzie istniało Liceum Plastyczne ze specjalnością fotograficzną. Rzecz w tym tylko, że nie chcąc martwić rodziców swoim artystycznym pomysłem (którzy bardziej widzieli mnie na przykład w technikum leśnym), nie powiedziałem im, że wybieram się nad morze. A egzaminy wstępne do tej szkoły, jak we wszystkich innych szkołach o profilu artystycznym, odbywały się na przełomie maja i czerwca. Ja byłem po pierwszym roku zwykłego ogólniaka, ale nie miałem jeszcze świadectwa ukończenia pierwszej klasy, a tam musiałem już przystąpić do egzaminów. Załatwiłem więc ze swoim wychowawcą, profesorem Szulcem, łacinnikiem, że otrzymam od niego pisemne potwierdzenie (taki list żelazny do dyrekcji szkoły w Gdyni-Orłowie), że ja na pewno otrzymam promocję do następnej klasy, a rodzicom z kolei powiedziałem, że jadę do Gdańska na szkolną wycieczkę. W ten sposób trafiłem na egzaminy, startując od razu do drugiej klasy, ze świadomością, że trzeba nadrabiać zaległości z przedmiotów zawodowych i artystycznych. Pamiętam, że oni tam, na ten drugi rok mogli wówczas przyjąć tylko sześć osób razem na oba kierunki, czyli na kierunek plastyczny i fotograficzny, a chętnych zjawilo się czterdziestu.

**– Jakimi umiejętnościami musiałeś się wykazać podczas egzaminu?**

– Egzamin praktyczny był z malarstwa (pejzaż) i rysunku węglem (martwa natura), a egzamin ustny z wiedzy o fotografii. Podczas egzaminu praktycznego przydały mi się umiejętności, jakie zdobyłem w gnieźnieńskim LO na zajęciach z plastyki, a podczas egzaminu ustnego przydały mi się pierwsze własne doświadczenia fotograficzne. Musiałem też pokazać komisji odbitki



własnoręcznie zrobionych zdjęć. Widać, że to wystarczyło, bo następnego dnia zobaczyłem swoje nazwisko na liście przyjętych. Tak rozpoczęła się moja droga ku fotografii profesjonalnej. Na kilka lat trójmiasto stało się miejscem mojego pobytu, bo szkołę mieliśmy w Gdyni-Orłowie, warsztaty fotograficzne znajdowały się w Gdyni, bursa szkolna była w Gdańsku, a do Sopotu mieliśmy obowiązek jeździć na wszystkie wystawy do tamtejszej galerii BWA. Byliśmy zresztą z tego skrupulatnie odpytywani.

**Przypomnijmy w dwóch zdaniach, że Liceum Plastyczne, do którego ty uczęszczałeś, utworzone zostało w roku 1945, początkowo w oparciu o kadre nauczycielską wywodzącą się z Wilna. Było to jedno z 22 liceów plastycznych (podlegających pod Ministerstwo Kultury i Sztuki) w PRL. W 1967 r. liceum zmieniło nazwę na Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych oraz rozszerzyło profil nauczania o specjalność pamiątkarstwo. W 1974 r. pojawiła się także specjalność formy użytkowe, a w 1985 – wystawienictwo. Obecnie uczniowie mogą wybierać spośród następujących specjalności: reklama wizualna, fotografia lub formy użytkowe (snycerstwo, metaloplastyka, ceramika, dekoratorstwo wnętrz). Warto przypomnieć i to, że wśród absolwentów tej szkoły znajdują się między innymi: Stefan Chwin, Magdalena Abakanowicz, Jacek Fedorowicz, Tadeusz Ciesiulewicz, Janusz Strobel, Józef Borusewicz, Bogdan Borusewicz, Maria Józefowicz, Jerzy Mechliński, Miłkołaj Trzaska, Róża Juchniewicz, Mariusz Popielarz, Marek Górnisiewicz, Jan Plata-Przechlewski, Aleksandra Spanowicz, Sławomir Jezierski, Jolanta Furmaniak i Janusz Janowski. Absolwentem z roku 1965 jest także gnieźnianin Maciej Frankowski. Z jakim tytułem opuszczałeś tę szkołę? Technika fotografii, rzemieślnika czy artysty?**

– Na świadectwie maturalnym mam zapisane, że jestem „technik sztuk plastycznych w zakresie fotografii”.

**– A ukierunkowywano was tam bardziej w stronę zawodowej obsługi sprzętu fotograficznego i sprawności technologicznej, czy także w stronę myślenia artystycznego o fotografii?**

– Jedno i drugie. Co kwartał byliśmy zobowiązani do przedstawiania swoich prac, które były opiniowane na plus albo na minus.

**– Co cię wtedy najbardziej fascynowało w świecie fotografii, którą poznawałeś u boku przedwojennych jeszcze mistrzów?**

– Najbardziej pasjonowały mnie dwie sprawy – ciemnia i atelier. To właśnie tam po raz pierwszy miałem kontakt ze zdjęciami w atelier i ze wszystkim, co się wiąże z tą metodą pracy i myślenia fotograficznego.

**– A było coś, czego nie lubieś?**

– Najgorszy był retusz. To była zresztą zмога wszystkich chłopaków, bo retusz to niezwykle żmudna robota, która wymaga czasu, precyzji i talentu. A w tym przodowały zawsze dziewczyny. Bywało więc, że po koleżeńsku podrzucaliśmy im swoje prace do fachowej obróbki.

**– Na moment cofnijmy się w czasie, bo to ciekawa historia. Do szkolnej bursy szkół artystycznych (średnia szkoła muzyczna, średnia szkoła baletowa i liceum plastyczne), która znajdowała się w Gdańsku przy ulicy Gnilnej, trafiłeś kilka dni przed rozpoczęciem roku szkolnego. I...?**



– I pierwszym życzliwym mi człowiekiem, którego tam spotkałem i który wprowadził mnie na pokoje, był Seweryn Krajewski we własnej osobie, późniejsze „Czerwone Gitary”. Tak zaczęła się nasza znajomość, którą mile wspominam. Ze znanych dzisiaj muzyków był tam jeszcze Ryszard Poznakowski, późniejszy „Trubadurzy”, a przez jakiś czas jako wolny elektron waletował w naszej bursie (w piwnicznej pakamerze, którą sam sobie urządził) także Czesław Niemen, wtedy jeszcze jako Czesław Wydrzycki. O ile sobie przypominam, to już wówczas trochę działał w gdańskim świątku cyganerii artystycznej, skupiającej się przy teatrzyku „Bim-Bom” czy klubie „Żak”. Bywało, że siadał na biurku przed naszą jadalnią i śpiewał, ale bywało i tak, że pozwalał nam zaglądać do tej swojej piwnicznej izby. Wtedy dopiero było widać, jak poważnie podchodzi do samokształcenia muzycznego, jak wiele ćwiczy, jak studiuje muzykę latynoską. Czesiek mieszkał wraz z nami kilka miesięcy, potem w kawiarni „Rudy Kot” w Gdańsku odbyły się eliminacje do konkursu „Szukamy Młodych Talentów”, organizowanego przez znanego orędownika jazzu i big-beatu Franciszka Walińskiego. Po tych przesłuchaniach zakwalifikował się do finału w Szczecinie, który zresztą wygrał i od tego czasu zaczęła się jego wielka muzyczna kariera. W każdym razie mój kontakt z Cześciem był chwilowy, ale mam wielką satysfakcję, że przez ten moment miałem za kolegę późniejszego, wielkiego formatu Czesława Niemena.

**– Mówiłeś, że najbardziej pasjonowały cię zajęcia w atelier i w ciemni. Rozumiem twoje zauroczenie atelier, bo to w końcu nieodzowny element wyposażenia profesjonalnego zakładu fotograficznego, z całym niezbędnym instrumentarium. A w ciemni co cię pasjonowało?**

– Magia światła i chemii. Tu warto wspomnieć, że pod tym względem mieliśmy świetnych nauczycieli.

Na przykład Edmund Zdanowski, kierownik naszej sekcji fotograficznej, był uczniem Jana Bułhaka. Jego żona Bolesława, która też pracowała w Liceum Plastycznym, również wyszła spod ręki Bułhaka. Z kolei niektórzy pierwsi uczniowie Zdanowskich też już pracowali wtedy w naszym liceum jako nauczyciele. W ciemni poznałem całą ówczesną technologię fotograficzną od strony szklanych klisz, płaskich błon atelierowych i filmów, a skończywszy na recepturach wywoływaczy i utrwalaczy. Do tego dochodziła obsługa sprzętu, takiego jak kopiarki czy powiększalniki. Pamiętajmy, że były to lata 1961–1965, więc w moim otoczeniu znajdowały się urządzenia i technologie, o których dzisiaj młodzi fotografowie mogą co najwyżej poczytać w starych podręcznikach. Dotknąłem jeszcze starej, tradycyjnej techniki i technologii fotograficznej, która dosyć szybko odchodziła do lamusa. Do dzisiaj pamiętam dzień, gdy profesor przyniósł na lekcję nowiutki aparat Pentacon Six, postawił go z dumą na swoim biurku, a my wpatrywaliśmy się w to cudo jak zaczarowani, bo słyszeliśmy o nim, ale nikt z nas jeszcze tego aparatu nie widział. Otrzymał go z państwowego przydziału Ministerstwa Kultury i Sztuki, bo w sklepach takie cymesy się nie trafiały.

**– To tyle historii. A teraz pytanie z innej beczki. Szkołę ukończyłeś, otrzymałeś świadectwo maturalne, dyplom technika fotografii i co? Miałeś wrażenie, że to był dobry wybór drogi zawodowej i pomysłu na życie?**

– Wtedy to czułem, a dzisiaj jestem pewien, że był to mój najlepszy wybór życiowy. A posmakowałem tego już podczas jednej z ostatnich wakacyjnych praktyk zawodowych w największym zakładzie fotograficznym w Zakopanem, na Krupówkach. Wiele się tam nauczyłem, jeżeli chodzi o praktyczny kontakt z klientem i szybkość realizacji zamówień. Poza tym to właśnie tam spotkałem





się po raz pierwszy z fotografią studyjną realizowaną – poza światłem sztucznym – także przy użyciu naturalnego światła dziennego, za sprawą całej przeszklonej ściany w atelier. Moim szefem był tam znany artysta fotografik Roman Serafin, którego zdjęcia gór można podziwiać w starych almanachach fotograficznych.

**– W każdym razie jesteście przy twoim świadectwie naturalnym. Wracasz w rodzinne strony z „5” z przedmiotu kierunkowego, jakim była dla ciebie fotografia, i co się dzieje dalej?**

– W Gnieźnie zacząłem rozglądać się za stałą pracą, ale jednocześnie pociągała mnie fotoreporterka prasowa. Z tym pomysłem latem 1965 r. wybrałem się do redakcji „Przemian”, gdzie naczelnym był wtedy Janusz Biniak, a sekretarzem redakcji Wojtek Staszewski. W tej redakcji zacząłem odbywać swój staż zawodowy. Pierwsze moje zdjęcia, jakie opublikowałem w „Przemianach”, to był fotoreportaż z pobytu dzieci francuskich w Mielnie. Po ukończeniu stażu trafiłem jako fotoreporter do Poznania, do redakcji „Gazety Chłopskiej”, która była organem prasowym Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, o zasięgu na całą polską zachodnią, od morza po góry. I tam byłem do czasu, gdy otrzymałem powołanie do odbycia zasadniczej służby wojskowej. W „Gazecie Chłopskiej” dużo fotografowałem i publikowałem. Pamiętam z tego okresu sporo udanych zdjęć reportażowych.

**– Pewnie masz tu gdzieś te fotki.**

– Kiedyś miałem, ale już nie mam, bo całe moje archiwum z tamtych czasów zjadły myszy. Ale do tego wątku pewnie jeszcze wrócimy.

**– Jak wspominasz pracę fotoreportera prasowego?**

– Bardzo ciekawe doświadczenie. Idealne zajęcie dla młodego mężczyzny z wykształceniem fotograficznym. Bywały chwile sympatyczne, ale pamiętajmy, że był to okres komunizmu gomułkowskiego, więc i nadzór polityczny nad prasą był wtedy zdecydowanie komunistyczny. Pamiętam jedną przygodę, która dzisiaj może wydawać się zabawna, ale w tamtych czasach mogła skończyć się katastrofą dla całej redakcji. Był rok 1966, a w tym roku świętowano obchody 1000-lecia państwa polskiego. Przeciwwagą dla obchodów kościelnych były różne oficjalne fety z udziałem najwyższych dostojników rządowych i partyjnych. Także do Poznania zjechali Gomułka, Spychalski i Cyrankiewicz. Oni idą przez miasto w uroczystym pochodzie, a ja robię im zdjęcia dla „Gazety Chłopskiej”. Na jednym z tych zdjęć marszałek Spychalski salutuje w stronę wiwatującej publiczności. To właśnie zdjęcie zostało zaplanowane na pierwszą stronę wydania, które miało być w kioskach w poniedziałek rano. Wtedy każde zdjęcie i każdy tekst prasowy zatwierdzała do druku cenzura, więc przez to sito nie mogła się przedostać żadna nieprawomyślność. Cenzura więc zatwierdza odbitkę mojego zdjęcia do druku, chemigrafia robi z tego kliszę i... i co się okazuje następnego dnia rano? Ludzie masowo wykupują naszą gazetę, bo na zdjęciu Spychalski salutuje lewą ręką. Robi się z tego poważna afera polityczna. Wyszło na to, że redaktorka, która składała numer do druku, odwróciła zdjęcie, aby osoby na nim pokazane nie „wychodziły z gazety” tylko szły do środka. To taka zasada redakcyjna aktualna pewnie i dziś. Pomysł był słuszny, ale dziewczyna nie spojrzała uważnie na zdjęcie i popełniła życiowy błąd. Śledztwo partyjne na szczeblu wojewódzkim, po obejrzeniu oryginału zdjęcia z pieczęcią cenzury, wykazało, że zawiniła ta właśnie redaktorka. To był prawdopodobnie koniec jej kariery dziennikarskiej, przynajmniej w czasach realnego komunizmu.



**– Ładny epizod reporterski. Epizod z dreszczykiem. Takie to były czasy. Ciągnęło cię jeszcze potem do pracy zawodowego fotoreportera?**

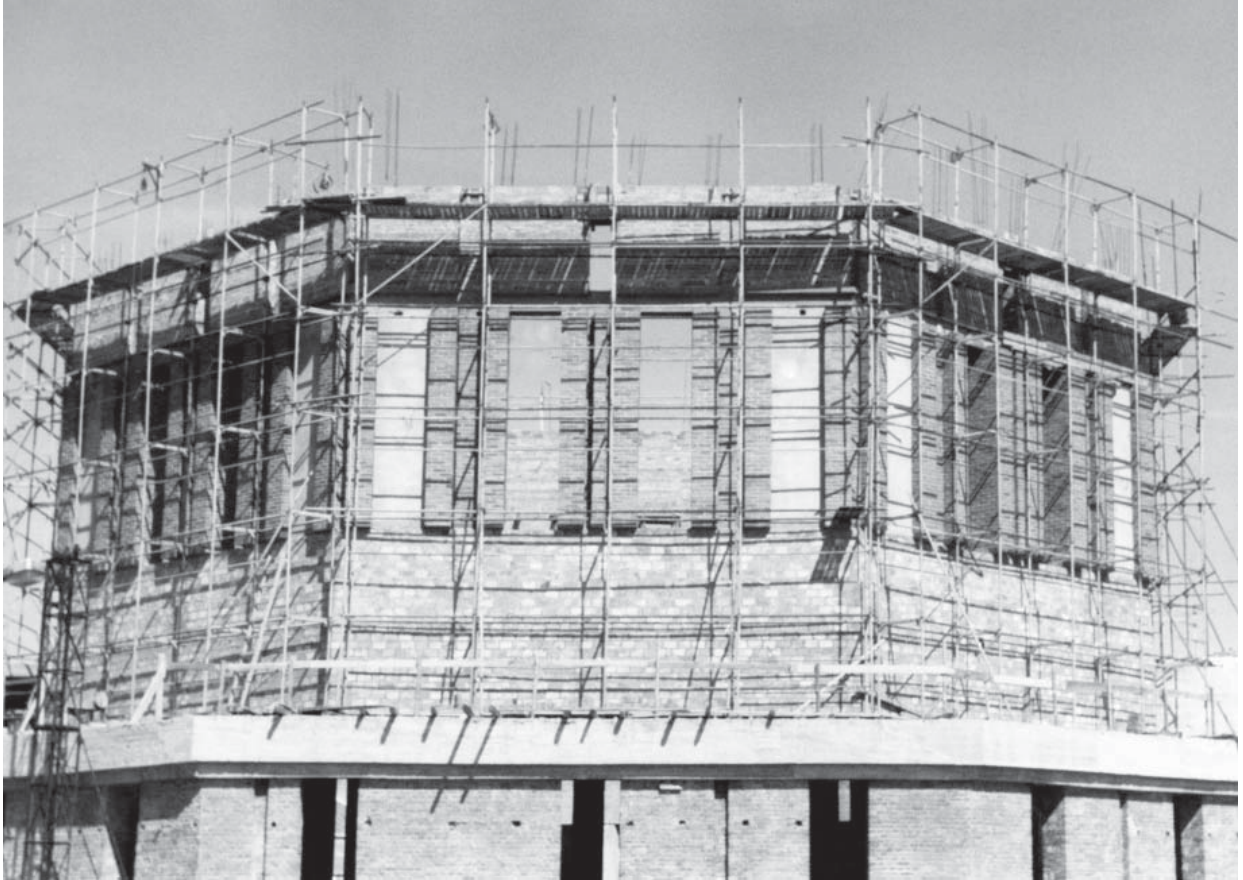
– Zawsze mnie ciągnęło. Krótco po tym epizodzie ze Spychalskim trafiłem na dwa lata do wojska. Sulechów, jednostka artyleryjska, a ja tam zostałem kanonierem przy obsłudze działa. Ponieważ jednak moi przełożeni wiedzieli, że jestem zawodowym fotografem, to pozwolono mi po zajęciach wojskowych pracować w pułkowym laboratorium fotograficznym. Obrabiałem tam głównie prywatne zdjęcia z wczasów moich przełożonych, ale i wewnętrzną dokumentację fotograficzną jednostki. Od czasu do czasu pstrykałem trochę dokumentu i reporterki wojskowej, pod ogólnym hasłem „z życia jednostki”. Któregoś dnia zrobiłem fotoreportaż z wojskowych zawodów modelarstwa lotniczego i bez wiedzy szefostwa wystąpiłem go do redakcji „Żołnierza Ludu”, tygodnika, który obejmował swoim zasięgiem cały Śląski Okręg Wojskowy. Po dwóch tygodniach przychodzi do dowództwa jednostki rozkaz dla mnie, że mam się stawić w trybie pilnym we Wrocławiu, a konkretnie w redakcji „Żołnierza Ludu”. I tak zostałem drugim fotoreporterem w tej gazecie, robiąc już do końca służby wojskowej to, co w cywilu lubiałem robić najbardziej. Jako fotoreporter byłem od tego momentu stale w delegacjach, które obejmowały teren całej Polski. Przez okres bytności w tej redakcji zaliczyłem 246 służbowych wyjazdów. Na poligony jeździłem już tylko jako obserwator ze sprzętem fotograficznym, a na warcie byłem jeden raz podczas unitarki. I pamiętam, że byłem wtedy tak zmęczony, że usnąłem z bronią na ramieniu. A kontrolujący nas dyżurny oficer zabrał mi tę broń, więc miałem z tego powodu drobne, regulaminowe kłopoty.

**– Miłe czasy służby wojskowej się skończyły i trzeba było wracać do szarej rzeczywistości cywila.**

– No właśnie. To był rok 1968, a ja szukałem pracy tam, skąd wyszedłem, czyli w redakcji „Gazety Chłopskiej”. Nie było już jednak dla mnie etatu, gazeta zwalniała dziennikarzy. Kręciłem się więc trochę przy gnieźnieńskich „Przemianach” i od kuzyna Janusza Chlasty, który był fryzjerem, dowiedziałem się, że zwalnia się w Gnieźnie punkt usługowy w Wielobranżowej Spółdzielni Pracy. Był to lokal w nieistniejącym już dzisiaj budynku przy ulicy kanclerza Łaskiego, bo teraz jest tam duże skrzyżowanie z ulicą Poznańską. Ja ten lokal objąłem i w ten sposób stałem się fotografem usługowym, nie mając na początek żadnego profesjonalnego sprzętu atelierowego. Tam przyjąłem do pracy, jako ucznia, swoją przyszłą żonę Ewę i razem przepracowaliśmy tam trzy lata. Po tych trzech latach udało mi się przenieść na ulicę Farną, na parter budynku, który też już nie istnieje, a gdzie dzisiaj, w nowej już kamienicy, są okna wystawowe dawnej „Polsrebra”. To był rok 1971.

**– Wróćmy na chwilę do lokalu przy ulicy Łaskiego. Jak to było z przyjmowaniem do pracy twojej przyszłej małżonki?**

– Ewa miała wtedy 19 lat i została u mnie uczniem, który przyucza się do zawodu. Wkrótce zdała egzamin czeladniczy i została pełnowartościowym fotografem. Wiem, że gdyby nie związek ze mną, to Ewa nie wybrałaby dla siebie tego zawodu, chociaż była w lepszej sytuacji niż ja, bo miała wujka, wielkiego pasjonata fotografii. Walerian Gawrych, bo o nim mowa, zapalony fotoamator, jeszcze przed wojną i przez cały okres okupacji robił zdjęcia. Znany był szczególnie w środowisku archeologów, bo działał przy wykopaliskach i dokumentował je na potrzeby muzealników. A po wojnie pracował jako narzędziowy w gnieźnieńskim „Spomaszu” i tam też prowadził pracownię fotograficzną. Podczas wojny i okupacji, gdy nie było energii elektrycznej, skonstruował kopiarkę, gdzie



źródłem światła była lampa naftowa oraz system luster wzmagających natężenie światła i tym sposobem uzyskiwał całkiem poprawne odbitki fotograficzne.

**– A zatem, zreasumujmy: zakład przy ulicy Łaskiego to pierwsza twoja własna działalność gospodarcza, pierwsza uczennica, ślub, własna rodzina i pierwsze doświadczenia na rynku usług fotograficznych. Czy coś jeszcze ze spraw ważnych zdarzyło się tam właśnie?**

– Tam, jako pierwszy w Gnieźnie, podjąłem próby z fotografią barwną. Pierwsze odbitki kolorowe, w ramach usługi fotograficznej, wyszły w Gnieźnie spod mojej ręki. Był to rok 1970 i 1971. Pamiętam, że Janusz Chlasta robił nam zdjęcia na naszym ślubie i że były to zdjęcia kolorowe, to znaczy film w aparacie był kolorowy. A ponieważ nie miałem wtedy jeszcze własnych odczynników, film wysłałem do Bydgoszczy, do centralnego laboratorium, gdzie dokładnie mi go spaprali. Wywołany przez nich film z moimi zdjęciami ślubnymi nie nadawał się do dalszej obróbki. Nie można było ich kopiować. Takie to były u nas początki koloru.

**– A te usługowe odbitki kolorowe robiłeś już na własnej chemii?**

– Wtedy wszystko już miałem swoje, choć zdobywanie chemikaliów w tamtej epoce przypominało nieustanną walkę o ogień.

**– Skąd czerpałeś wiedzę o technologii fotografii kolorowej? Były już do tego jakieś podręczniki?**

– Podstawy teoretyczne wyniosłem jeszcze z Liceum Plastycznego. Reszty musiałem nauczyć się sam, trochę eksperymentując, trochę czytając. W tej materii

eksperymentowanie było zresztą czymś normalnym i nieustającym. Bez nieustannego eksperymentowania nie można było doskonalić technologii i jakości tego, co było na końcu, czyli kolorowej odbitki. Tak działo się do momentu, gdy kontrolę nad kolorem przejęły maszyny, zwane mini labami, czyli sterowane elektronicznie kombajny fotograficzne, które uwolniły zakłady usługowe od żmudnej ręcznej roboty.

**– A jak to się stało, że z ulicy Farnej trafiłeś ostatecznie na ulicę Łubieńskiego?**

– Któregoś dnia 1976 r., a konkretnie w piątek, przyszedł do nas na Farną ówczesny prezydent Kaszuba, z którym chodziłem przez rok do jednej klasy w gnieźnieńskim ogólniaku, i mówi, że w poniedziałek buldożery zaczynają burzyć kamienicę, w której miałem zakład. Spółdzielnia, w której byłem zrzeszony, zaoferowała mi w to miejsce pracę u kogoś w Poznaniu, w jakimś tamtejszym zakładzie. O odszkodowaniu za inwestycje, jakie poczyniliśmy na Farnej, nie było nawet mowy. To był moment, gdy rozstałem się z ulicą Farną i przy okazji ze Spółdzielnią.

**– Rok 1976. Jaki był wtedy twój poziom zaawansowania w technikę i technologię fotograficzną, oczywiście na tle innych gnieźnieńskich zakładów?**

– Na pewno nie odstawałem od najlepszych, a były i takie sprawy, że byłem krok przed innymi. Na przykład jeżeli chodzi o sprawy atelierowe to już wówczas stworzyłem pierwsze studio błyskowe, wykonane własnym sumptem z dostępnych lamp błyskowych na zasilanie sieciowe. Dzisiaj co prawda byłoby prymitywne, ale wtedy swoją rolę w miarę dobrze spełniało, gdyż ówczesne filmy były bardziej przystosowane do światła dziennego, a tym samym błyskowego. Poza tym, jeszcze za czasów



gdy byłem na ulicy Łaskiego, jako pierwszy w Gnieźnie zrobiłem kolorową dokumentację fotograficzną dla Urzędu Miasta. Był taki wtedy bardzo popularny w całej Polsce „Turniej miast” transmitowany przez telewizję. Gniezno walczyło w parze z Kaliszem. Obfotografowałem całą gnieźnieńską część tego turnieju, robiąc jednocześnie, na dwóch aparatach, zdjęcia czarno-białe i kolorowe. Z tego wyprodukowałem na potrzeby Urzędu Miasta 60 albumów fotograficznych. A zdjęcia kolorowe udały się bardzo dobrze, ponieważ odbitki robiłem na zaawansowanym technologicznie papierze węglerskim Forte Color, który przychodził do Polski razem z chemią, więc to dawało gwarancję wysokiej jakości. A na Farnej świadczyłem już normalne usługi w zakresie kolorowej fotografii atelierowej, fotografii reportażowej i dokumentacyjnej, a także robiłem już seryjnie odbitki z kolorowych filmów, które do zakładu przynosili klienci.

#### **– Jak to wszystko wyglądało na tle innych, uznanych gnieźnieńskich zakładów fotograficznych?**

– Wtedy liczyły się tak naprawdę trzy warsztaty. Najstarszy, z tradycjami jeszcze przedwojennymi, był zakład Wiktora Nowickiego, przy ulicy Chrobrego, w bramie na wysokości PKO. Dzisiaj jest tam firma fotograficzna „Pixel”. Nieco młodszy, ale też z tradycjami, bo od roku 1945, był zakład „Foto-Marylka” Edmunda Starczewskiego, po którym firmę przejął z czasem syn Wojciech. On także usadowiony był przy ulicy Chrobrego, ale na wysokości restauracji „Gwarna”. Obaj ci panowie przed wojną terminowali i uczyli się fotografii studyjnej u jedyne go wtedy mistrza, czyli u pani Korkunowej, prawdopodobnie spolszczonej Niemki, która miała swój zakład przy ulicy Tumskiej, a jej atelier było jedynym w okolicy studiem fotograficznym z przeszklonym dachem. Trzecim z tych wielkich gnieźnieńskich warsztatowców, którzy po wojnie nadawali ton miejscowej fotografii, był Anto-

ni Jeśmontowicz, aktor gnieźnieńskiego teatru, malarz amator, wspaniały człowiek i utalentowany fotograf. On rozpoczął działalność w roku 1957 przy ulicy Mieszka I pod szyldem „Foto-Studio”. Po nim firmę przejął syn Ryszard, a teraz już wnuczka Dorota, dobrze przygotowana fotograficznie (pasjonatka fotografii artystycznej) kontynuuje tę rodzinną tradycję. Od 1990 roku firma funkcjonuje przy Placu 21 Stycznia.

#### **– Każdy z tych warsztatów miał zapewne swój styl, z czegoś był znany i dlatego na swój sposób musiał być rozpoznawalny. Potrafisz w dwóch zdaniach scharakteryzować ich specyfikę?**

– Wiktor Nowicki i Edmund Starczewski mimo, że wyszli spod ręki tej samej mistrzyni, mieli swój własny, odmienny styl. U pierwszego światło było bardzo kontrastowe z użyciem tzw. kontry, tj. światła tylnego podkreślającego zarys sylwetki czy owalu głowy, u drugiego natomiast światło łagodne, lekko odbite z zastosowaniem międko rysujących obiektywów. Zdjęcia z tego okresu były bardziej statyczne, takie trochę posągowe, ale to też było wymuszone poprzez klisze szklane, czy potem błony płaskie. One wymagały długiego, trzysekundowego czasu naświetlania, dlatego fotografowany człowiek nie mógł się poruszyć i stąd takie efekty. Z czasem, gdy materiały były czulsze, a aparaty doskonalsze optycznie, zdjęcia stawały się bardziej dynamiczne. Bardzo kreatywny, jeżeli chodzi o zdjęcia studyjne i portrety był właśnie Antoni Jeśmontowicz. Jego portrety robiły wrażenie, a mnie one fascynowały już jako chłopaka z podstawówki. Wracając z zajęć lekcyjnych, niemal codziennie przechodziłem koło „Foto-Studia”. Tam, w witrynie, obok zdjęć pocztówkowych, w narożniku stało zawsze dużych rozmiarów zdjęcie portretowe, za każdym razem inne przy zmianie wystawy. Pan Antoni przez kilka lat funkcjonował również jako fotograf teatralny, którego wiele





wspaniałych zdjęć można było podziwiać w foyer teatru gnieźnieńskiego. W tym miejscu warto wspomnieć jeszcze o innych zakładach, które wtedy działały w Gnieźnie. Na przykład Jerzy Inerowicz miał punkt usługowy przy targowisku, gdzie obok manualnej pracy laboratoryjnej wykonywał również zdjęcia poza zakładem, np. w USC. Z czasem przeniósł się na Zielony Rynek, gdzie już miał studio. Ten punkt, od czasu jego śmierci, do dzisiaj prowadzi jego córka Anna Ciszak. Z kolei przy ul. Budowlanych, a później przy ul. Rzeźnickiej istniał zakład prowadzony przez Albina Sobkowiaka, który wcześniej długi czas działał w Mogilnie. Był też „Foto-Styl” przy ul. Grzybowo – Stefana Korpysa, który wcześniej miał zakład foto w Kłecku, przy Rynku. Długo działało też laboratorium wspomnianego na początku tej rozmowy pana Macioszka. On pracował przy ul. Chrobrego, obok studia W. Nowickiego. Było też małe laboratorium pana Bireckiego przy ul. Farnej. Był też taki fotograf – Bogdan Jędrzejewski. Ktoś nadał mu przydomek „Mecenas” i tak już zostało. Fotografował wyłącznie na pogrzebach, czy ktoś chciał czy nie, a odbitki przynosił na stypę lub do rodziny zmarłego. Muszę jeszcze przypomnieć dość długo prowadzony zakład w narożu Zielonego Rynku, w którym wykonywano głównie zdjęcia studyjne. Działała tam pani Walczak, której bliżej nie znałem. Pamiętam jeszcze studio i laboratorium na ul. Libelta z lat 70. (przy tak zwanym kominie), uruchomione przez Zbigniewa Sobczaka, a potem przejęte przez Mirosława Skrzypkowskiego, który wcześniej miał zakład w Czarniejewie. Lata 90. to czas, kiedy na rynek weszły szybko pracujące mini laby, jak „Fuji” na ul. Dąbrówki, czy „Foto Centrum” na ul. Chrobrego. Nie mogę również pominąć działalności mojego dobrego kolegi i przyjaciela Krzysztofa Grossa, przedwcześnie zmarłego w wieku niespełna 50 lat. Pracował najpierw w „Foto Centrum”, a później już samodzielnie prowadził usługi laboratoryjne i reportażowe na ul. Dąbrówki, narożnik ulicy Grzybowo (dzisiaj sklep

komputerowy). Krzysiek, będąc elektronikiem, najpierw pracował we wrzesińskim „Tonsilu”, a później połąkł bakcyła fotografii, poznał dobrze tajniki fotografii czarno-białej, a z czasem, przy mojej pomocy, również fotografii barwnej i tak, na ładnych parę lat,ostał się zawodowo jako fotograf. Na koniec tej prezentacji wymienię jeszcze dwie osoby. Oto Olek Matczyński, który najpierw był jakiś czas fotografem w gnieźnieńskim Muzeum Początków Państwa Polskiego, a potem otworzył zakład w Janowcu Wielkopolskim. Obecnie prowadzi wraz z żoną i córką zakład w Wągrowcu, przy czym jego związki z gromem fotografów gnieźnieńskich nadal są bardzo zażyłe. Druga osoba to Broniek Tylewski – z zawodu zegarmistrz, który z czasem też obrał sobie za źródło utrzymania fotografię i przez dobre 20 lat prowadził małe laboratorium na terenie ośrodka wczasowego w Skorzęcinie. Po zakończeniu działalności w Skorzęcinie, z racji tego, że w Gnieźnie nie ma punktu napraw sprzętu foto, stał się „lekarzem” Smien, Zenitów i Praktik, a teraz również cyfrówek. Codziennie odwiedza tutejsze zakłady, skąd zabiera do naprawy aparaty pozostawione przez klientów, zadowolonych, że nie muszą szukać specjalistycznych serwisów poza Gniezmem.

**– Podsumujmy zatem. Historia współczesnej gnieźnieńskiej fotografii, to – poza trzema najstarszymi zakładami i, później, wieloma następnymi – także i twoja historia. Szybko i wyraziście usadowiłeś się w gnieźnieńskim krajobrazie fotografii usługowej. Jak pamiętasz swoich starszych kolegów?**

– Najmniej znałem Wiktora Nowickiego. Był to starszy pan, raczej zamknięty w sobie, z którym nigdy nie nawiązałem bliższych kontaktów, choć nasze ogrody, to znaczy jego ogród i ogród moich rodziców, gdy jeszcze mieszkaliśmy w Gnieźnie, sąsiadowały ze sobą przy ulicy Cieszkowskiego. Tak więc nie było mi dane poznać go



bliżej, chociaż dużo później lepiej poznałem jego córkę, miłą i towarzyską osobę – panią Urszulę, która z czasem przejęła zakład po ojcu. Natomiast dobrze znałem Jeśmontowicza i Starczewskiego. Z Jeśmontowiczem byłem tak blisko, że w pewnym okresie, zaraz po mojej maturze, chciał, abym przyszedł do niego pracować. Wybrałem jednak staż w „Przemianach”.

**– Ostatecznie, po wyburzeniu przez miasto kamienicy przy ulicy Farnej, osiadłeś na swoim, czyli przy Łubieńskiego 10, gdzie jesteś do dzisiaj.**

– Tak. Rozpocząłem tam działalność od początku jako zakład całkowicie prywatny, ale nadal pod szyldem „Fotoplastyka”. W tym samym czasie zmieniły się też nieco zasady weryfikowania dyplomu technika fotografii. Został on zrównany pod względem uprawnień, z dyplomem mistrzowskim Cechu Rzemiosł. Tym samym mogłem już bez problemów zacząć szkolić uczniów. W sumie, z moją żoną, jako pierwszym uczniem, było ich dziesięcioro.

**– Są dumni z faktu, że byli twoimi uczniami?**

– Tego nie wiem, ale odwiedzają mnie od czasu do czasu i ciągle mówią do mnie „Szefie”.

**– A twoje dzieci, czyli córka Kasia z mężem i syn Leszek, które dzisiaj są podporą firmy?**

– Nasz syn zgłębił tajniki fotografii czarno-białej i barwnej w czasie, gdy jeszcze z żoną prowadziłem zakład. Krótko mówiąc – poznał „smak ciemni”. Kasia natomiast, również, choć w mniejszym stopniu, spędziła trochę czasu przy powiększalniku. Na kilka lat pojawiła się jeszcze fotografia polaroidowa-natychmiastowa, która zupełnie wyparła zdjęcia typu dowodowego czy legi-

tymacyjnego z obróbki „mokrej”, czyli w ciemni. Po niej był już krok do przełomu. Nasze dzieci na dobre zaczęły działać w firmie, gdy nastąpiła fotografia cyfrowa i nie bardzo już trzeba było działać w ramach tradycyjnych technologii. Obróbkę chemiczną odbitek załatwiają i kontrolują maszyny, a do fotografii cyfrowej potrzebna jest umiejętność obsługi komputera i drukarki, a nie koreksu i kuwety. Oczywiście pozostaje kwestia podstawowej wiedzy fotograficznej i wrażliwości estetycznej w zakresie kompozycji, kadrowania i oświetlenia, ale z tym na szczęście moje dzieci nie miały i nie mają trudności. W końcu od małości nasiąkały atmosferą domu fotografa. W razie czego nadal w odwodzie jest moja małżonka, która stale potrafi nam coś celnie doradzić i podpowiedzieć.

**– Mówisz teraz o dwóch różnych epokach. Na ulicę Łubieńskiego wchodziłeś jeszcze z tradycyjną, ciemniową fotografią i chemią komponowaną według własnych, czujnie pilnowanych receptur. Teraz, gdy nieodwracalnie króluje w biznesie fotografia cyfrowa, jak oceniasz te dwa światy? Jak im jest do siebie blisko... czy raczej daleko?**

– Bardzo daleko, bo dzieli je przepaść. Koniec lat 70., gdy zaczynałem na Łubieńskiego, technologicznie stale zahaczałem o wiek XIX, mogłem jeszcze wtedy robić zdjęcia na kliszach szklanych. Dzisiaj kliszy szklanej nikt już nie zna, a obejrzeć je może najwyżej w muzeum, albo w moich prywatnych zbiorach. Gdy wspomnę swoje początki w Liceum Plastycznym i patrzę jednocześnie na to, co mnie otacza dzisiaj, to dochodzę do wniosku, że przeszedłem całą drogę fotografii, że doświadczyłem w fotografii wszystkiego, co ważne, co interesujące, co pozwala mi wierzyć, że miałem ciekawe życie zawodowe. A przecież współczesna fotografia nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa.



**– Zdarzyło ci się w przeszłości przegapić coś, co w biznesie fotografii usługowej było, nazwijmy to tak, milowym krokiem?**

– Owszem. Raz się spóźniłem. Nie wzięłem kredytu, nie zaryzykowałem i nie kupiłem maszyny, czyli mini laba, który ułatwia wywoływanie filmów, a z którego następnie szybko otrzymuje się gotowe zdjęcia w zadanym formacie, co maksymalnie przyspiesza obsługę klientów. Pierwszy lab Fuji zaczął działać w nieistniejącym już zakładzie przy ulicy Dąbrówki. Gdy oni szli w tysiące odbitek, my nadal musieliśmy męczyć się ręcznie przy setkach, w tym samym czasie. Żadne ręce nie dogonią sprawnej maszyny. Wtedy odczuliśmy to dosyć boleśnie. Dlatego na technologię cyfrową już się nie spóźniłem. Nie dałem się zaskoczyć. A było to latem 1998 roku. Do tego doszedł komputer i drukarka termosublimacyjna, a dopiero potem lab cyfrowy. Nadal rzecz jasna robimy zdjęcia analogowe (choć ta droga powoli się zamyka), bo zwłaszcza ludzie starsi ciągle fotografują na filmach i zwykłych aparatach. Wszyscy inni przynoszą płyty CD z plikami cyfrowymi, które my zamieniamy na papierowe odbitki.

**– Nie sądzisz, że gdy ktoś zaczyna swoją edukację fotograficzną od cyfry, nigdy już może nie chcieć posmakować tej niepowtarzalnej urody, jaką gwarantuje tradycyjna fotografia?**

– Dobrym tego przykładem jest mój zięć Piotr Tomaszewski, który nigdy nie miał żadnych wcześniejszych doświadczeń, jeżeli chodzi o fotografię analogową. U nas zaczął pracę z aparatem niemalże z marszu, a w tej chwili świetnie się sprawdza w fotografii cyfrowej. Szczególnie dobrze sobie radzi w reportażu. Świetnie wychodzą mu zdjęcia w plenerze, na przykład bardzo ostatnio popularne plenerowe zdjęcia ślubne. Ma przy tym dobry kontakt z klientami i ogólne wyczucie fotograficzne.

**– Powiedz, Macieju, jak – twoim zdaniem – prezentuje się dzisiaj krajobraz fotografii usługowej w Gnieźnie?**

– Na pewno wykruszyły się te wszystkie zakłady, które w odpowiednim momencie nie weszły w fotografię cyfrową, z czym wiążą się spore wydatki, przede wszystkim na sprzęt, komputery i laby cyfrowe. Ci, którzy pozostali w tym krajobrazie, podzielili się rynkiem. Istnieją więc cztery duże zakłady samowystarczalne, odpowiednio usprzętowane: „Fotoplastyka” (rodzinna firma Frankowskich), „Foto-Duo” (dawniej „Foto-Centrum”), „Foto-Studio” Doroty Jeśmontowicz oraz „Foto Leonardo” przy ulicy Farnej Leonarda Kaczmarka, który był uczniem Wojciecha Starczewskiego. Jest także na Winiarach „Kodak Express” S. Kościelskiego. Oczywiście należy wspomnieć też o Jurku Andrzejewskim, który obecnie ma własne studio „Foto Caro” na osiedlu Ustronie. Jak wiadomo, jest on profesjonalnym fotografem muzealnym, systematycznie dokumentuje również w Gnieźnie życie miasta i życie Kościoła (wcześniej miał studio w Pobiedziskach).

**– Wracając do twoich działań warsztatowych, wspomnijmy chwilę. Zastanawiam się bowiem, czy oprócz prac wykonywanych na zlecenie, które wynikały z zakresu typowych codziennych usług fotograficznych, pojawił się w działalności twojej firmy jakiś temat, który dokumentowaliście nieprzerwanie, na przestrzeni wielu lat?**

– Owszem, był taki temat. Obejmował naszą parafię, a dokładnie rzecz ujmując, powstawanie naszego kościoła, poczynając od dziury w ziemi, a skończywszy na wieszaniu krzyży. Jest to dzisiaj kościół pod wezwaniem Błogosławionego Radzyna Gaudentego na osiedlu Winiary. W czasie, gdy z rodziną tam zamieszkałem, a konkretnie



na osiedlu Piastowskim, należeliśmy do parafii świętego Michała. Ówczesny młody wikariusz z tej parafii, ksiądz Zbigniew Kapturczak, otrzymał dekret na utworzenie nowej parafii właśnie na osiedlu Winiary, gdzie zamieszkało kilka tysięcy rodzin. Wtedy to, przy jakiejś okazji przyszedł proboszcz zaproponował nam zrobienie pierwszych zdjęć miejsca, na którym miała powstać najpierw kaplica, a potem dopiero murowana świątynia. I tak się też stało. Później dokumentowałem, na przemian z żoną, najpierw wznoszenie kaplicy, a z czasem, gdy proboszcz Zbigniew otrzymał pozwolenie na budowę kościoła, zaczęły powstawać pierwsze zdjęcia z tego okresu. Czuliśmy z żoną, że uczestniczymy w rodzeniu się czegoś nowego, ważnego i trwałego, w czym warto uczestniczyć, no i rejestrować ku pamięci następnych pokoleń. W ten sposób w bibliotece stworzonej przez proboszcza zostało po naszej pracy 28 pięknie oprawionych albumów ze zdjęciami, na których uwieczniliśmy różne uroczystości parafialne. Nasza współpraca z księdzem Kapturczakiem trwała 29 lat, a smutnym jej finałem są zdjęcia z uroczystego pogrzebu proboszcza.

**– Twoje osiągnięcia warsztatowe, postęp w zakresie estetyki fotografii studyjnej, a ostatnio także plenerowej, widać w oknie wystawowym twojej firmy. Ale drugą twój twarz, twarz rasowego reportażysty, z dawnymi ciętymi do fotoreportażu prasowego, można było poznać na wystawie zdjęć w Dużej Galerii Miejskiego Ośrodka Kultury w Gnieźnie, gdzie pokazałeś rodzinny, imponujący plon waszych wypraw do Egiptu. Jak często zdarzają ci się powroty do tego typu działań?**

– Ostatnio niezbyt często, bo człowiek już tyle nie wychodzi w teren. Od tego są młodsi. Młodzi i zdolni. A wracając do wystawy „Poznaj Egipt”, to pamiętajmy, że to był pomysł syna, córki, a szczególnie zięcia, którzy po dwu-

trzykrotnych wakacjach spędzonych właśnie tam, mieli już trochę zdjęć. Ja byłem w Egipcie tylko raz. Egipt na pewno był dla mnie fotograficzną przygodą z prawdziwego zdarzenia, kiedy można było sobie z aparatem nieco poszaleć, czyli fotografować dla siebie. To uczucie nie jest mi obce i dzisiaj. Taka potrzeba wyjścia poza cztery ściany firmy, choć niezbyt często, jednak się pojawia. A staje się tym bardziej realna, że w firmie mam już następców.

**– Co najbardziej pociąga cię dzisiaj w fotografowaniu dla siebie?**

– Dzisiaj, podobnie jak było w przeszłości, najbardziej pociąga mnie reportaż, wydarzenia. A skoro reportaż, to i ludzie. Czasem trafi się jakaś nostalgiczna potrzeba spojrzenia na pejzaż, na przyrodę, ale najbardziej pociąga mnie człowiek w ruchu, człowiek w działaniu, w naturalnym otoczeniu miasta i codziennych, małych i wielkich spraw tego świata.

**– Czyli w tym momencie wracają twoje pierwsze doświadczenia jako fotografa prasowego, doświadczenia wyniesione z „Przemian” i cała wasza wieloletnia przyjaźń z Januszem Chlastą.**

– Jest dokładnie tak, jak mówisz: „Przemiany” i Janusz Chlasta.

**– To może od razu kilka zdań o Januszu. Wszyscy wiemy, że był to trochę szalony fotoreporter gnieźnieński, teraz już na emeryturze, legenda „Przemian” i gnieźnieńskiej fotografii prasowej.**

– A jednocześnie tutejszy kolejarz. Mało kto wie, że on, gdy było trzeba, potrafił pociągiem osobowym z przesiadką w Nakle przywieźć z Bydgoszczy do Gniezna wielki tapczan.





**– Ładna anegdota. Jak wspominasz Janusza z tamtych lat, jako fotoreportera, a jak widzisz go dzisiaj, jako człowieka?**

– No więc jestem na stażu w „Przemianach”, robię zlecone mi zdjęcia, przynoszę je na biurko któregoś z szefów, oni to oglądają, a potem jak mantrę powtarzają słowa, że Chlasta by to zrobił inaczej. Pytam więc, kto to jest ten Chlasta. Oni mi tłumaczą, że to taki kolejarz (po ojcu kolejarzu), który jeździ rowerem i dostarcza zdjęcia prasowe do redakcji. Owo „Chlasta by to zrobił inaczej” było dla mnie formą inspiracji, żeby na zadany temat spojrzeć z innej strony, żeby trochę pogłównkować, zaproponować coś oryginalnego, jakiś ciekawy kadr. Zdjęcia Chlasty były na pewno wtedy dla mnie jakimś punktem odniesienia. Ja tam pracowałem dwa miesiące, ale Chlasty na oczy nie widziałem, bo on stawiał rower na chodniku przed redakcją, rzucał zdjęcia na biurko i już go nie było. Wracał do swojej roboty na kolei. A gdy już się poznaliśmy, to staliśmy się na długie lata dobrymi kumplami. I tak jest do dzisiaj. A jak go widzę? Janusz jest impulsywnym, bezpośrednim, szczerym, ale i bardzo dobrym, życzliwym człowiekiem. Ale tacy są wilnianie. On się urodził w Wilnie. Stamtąd zresztą pochodzi jego matka. Oprócz tego, że był z zawodu kolejarzem, to jednak całe życie związany był z gnieźnieńskimi redakcjami, jako tutejszy fotoreporter.

**– Po Gnieźnie krążą opowieści o sławnym, ale niezwykle tajemniczym archiwum fotograficznym Janusza Chlasty. Coś ci wiadomo na ten temat?**

– Chlasta nigdy nie miał ciągót do porządkowania swoich archiwaliów. W redakcji „Przemian”, gdy się wchodziło do ciemni, to nad głową sterczał długi, wystający ze ściany gwóźdź, na którym wisały nadziane przez Janusza filmy. On w ten sposób „odhaczał” zakończone

tematy, które poszły do druku. Gdy tych filmów było na owym gwoździu ze dwadzieścia, to je ściągał i wkładał do długiego drewnianego pudełka własnej konstrukcji. Gdy jego związki z redakcją się zakończyły, wszystkie te pudełka wywiózł do swojego garażu. W ten sposób powstało największe prywatne archiwum fotografii prasowej w Gnieźnie. Jak to dzisiaj wygląda, nie wiem, bo nigdy w tym garażu nie byłem. A warto by pomyśleć o zeskanowaniu istniejących tam filmów, bo na nich mieści się kilkadziesiąt lat powojennej historii miasta. Skoro jestem już przy „kolejarskim” wątku związanym w tle z Januszem Chlastą, to muszę jeszcze wymienić Wojtka Zasadę. To był człowiek także z kolejarskiej profesji i również zarażony fotografią. Przez wiele lat drugim jego zajęciem stało się fotografowanie i filmowanie. Obrabiał to wszystko sam w domowych warunkach. A z racji stałych wyjazdów związanych z zawodem, często bywał w dawnym NRD, skąd przywoził nam, fotografom warsztatowym, aparaty i inne potrzebne akcesoria, nieosiągalne na naszym rynku. Z czasem jego syn Tadeusz również wpadł w sidła fotografii i z pomocą ojca otworzył studio w Kłęcku, lecz po krótkiej i ciężkiej chorobie zmarł w wieku niespełna 31 lat.

**– Ciągle w Gnieźnie mieszka, ale chyba już nie fotografuje, niejaki Zdzisław Stoltman. To był fotoreporter i fotograf związany przede wszystkim z gazetą zakładową „Głos Załogi”. On z kolei wyspecjalizował się w fotografii sportowej, a jego największą miłością był gnieźnieński klub żużlowy „Start”.**

– Faktem jest, że Zdzich fotografował zawody żużlowe, a robił to bardzo dobrze. W tej dziedzinie był swego rodzaju mistrzem. Do dzisiaj pamiętam jego czarno-białe, bardzo ekspresyjne zdjęcia, które przez kilka lat pojawiały się w oknie restauracji „Gwarna”, na ulicy Chrobrego.



**– O tobie natomiast mówi się, że jesteś zapalonym zbieraczem starych aparatów fotograficznych.**

– Ta pasja nie została wymyślona. Ona pojawiła się sama z siebie. Rzecz w tym, że nie lubię się pozbywać aparatów, które wychodzą z użycia. Sprzedając taki aparat na wielkie zyski liczyć nie można, a wspomnienia są ważniejsze. Każdy z tych aparatów jest kawałkiem mojej duszy, a duszy nie powinno się wyprzedawać. Warto ją mieć przy sobie.

**– Są w tej kolekcji i takie kamery, na których nigdy nie pracowałeś, ale z jakichś powodów w jakichś określonych okolicznościach trafiły w twoje ręce.**

– Czasem zdarza się, że kupuję aparaty, które mają wartość przede wszystkim historyczną. Mam na przykład aparat Altissa, który w latach 20. XX wieku był produkowany ręcznie w warsztacie ślusarskim w Poznaniu, a szkła do tego aparatu wykonywał jakiś zaprzyjaźniony z panem ślusarzem optyk. W ten sposób powstał aparat wziernikowy formatu 6 x 6, o jednym czasie migawki. Tak więc takie właśnie perełki zatrzymuję w swojej kolekcji, jeżeli już mam ku temu okazję. Obok tej puszkii od ślusarza stoi pierwsza moja cyfrowka, która też już zakończyła swój fotograficzny żywot.

**– Jak oceniłbyś potencjał historyczny tej kolekcji?**

– Każdy z tych aparatów jest osobną historią na dany czas. Każdy, kto fotografuje, zawsze marzy o sprzęcie doskonalszym od tego, który akurat ma w ręce. Teraz aparaty z mojej kolekcji wydają się bardzo niewygodne, a przecież przed laty były marzeniem fotografów. Wszystkie one razem są ładnym kawałkiem historii fotografii światowej, od studyjnej kamery altanowej na szklane klisze dużego formatu, które były standardowym wyposażeniem każdego

szanującego się atelier, przez aparaty średnioobrazkowe, a skończywszy na aparatach małoobrazkowych. Zawsze potrzeba wyższej jakości wymuszała technologię filmu i optykę, a postępy w technologii kliszy i szkła dawały nową jakość. I w ten sposób dotarliśmy do fotografii cyfrowej, gdzie historia sprzętu elektronicznego zaczęła się praktycznie od nowa. Mój pierwszy aparat cyfrowy służył mi wyłącznie do robienia zdjęć legitymacyjnych. Formatu pocztówki z niego wyciągnąć się już nie dało. A dzisiaj? Ogromna rozdzielczość, która umożliwia rzadko wcześniej spotykane formaty zdjęć, i ceny, które w przypadku profesjonalnego sprzętu z klatką formatu, jak dawniej, 6 x 6, idą w setki tysięcy złotych.

**– Zbliżamy się do końca naszej rozmowy, więc może jakaś refleksja. Przyznałeś wcześniej, że wybór szkoły, czyli liceum plastycznego ze specjalnością fotograficzną, był twoim najlepszym wyborem. A teraz reszta życia, już dorosłego. Jak oceniasz minione lata w kontekście wyboru drogi, która w całości okazała się drogą z fotografią i ku fotografii?**

– Nie doświadczyłem innego życia, więc nie mam żadnej w tej materii skali porównawczej, ale już wiem, że nie zamieniłbym się na inne życie z innym fachem. Nie widzę się jako szewc czy mechanik samochodowy. Gdybym musiał, to pewnie jakaś inna profesja też by się dla mnie znalazła, ale – przyznam szczerze – robiłbym to inne z wielką niechęcią. Moją żonę i mnie bardzo cieszy, gdy widzimy, że nasza córka też odnajduje się w tej pracy, że jej mąż świetnie się sprawdza w tej branży, że nasz syn (który ma własny zakład w Poznaniu, przy ulicy Garnarskiej) ciągle chce z nami pracować, że wreszcie nasza wnuczka też nie rozstaje się z aparatem fotograficznym.

**– U siebie w domu masz jeszcze tradycyjną ciemnię z tradycyjną chemią?**



– Ciemni już nie mam, ale cały sprzęt z tej ciemni, z powiększalnikami włącznie, jeszcze istnieje w zasięgu mojej ręki. Stoi w garażu, przykryty i odpowiednio zabezpieczony.

**– Trochę to smutne, ale z drugiej strony cieszy chociaż fakt, że cały ten sprzęt nie trafił na śmietnik.**

– Jeszcze nie. Śmietnik mu raczej nie grozi, może raczej kiedyś dołączy do mojej prywatnej muzealnej kolekcji.

**– Skoro podsumowujemy twoje życie człowieka fotografującego, to nie mogę nie zapytać o ewentualnych twoich mistrzów fotografii, na przykład reportażowej.**

– Była i chyba jest nadal taka Grupa „Magnum”, francuska grupa fotografów reporterów. To są moi mistrzowie. Myślę przede wszystkim o założycielach grupy. Poza tym bardzo cenię twórców takich jak Witold Romer i jego izohelie, gumy braci Dederków, różnorodną stylistycznie twórczość Edwarda Hartwiga, pejzażystę Pawła Pierścińskiego, akty Wojciecha Plewińskiego, czy też piękne portrety Zofii Nasierowskiej. A cenieni przeze mnie fotoreporterzy to oczywiście grupa z dawnego tygodnika „Świat”: Jan Kosidowski, Konstanty Jarochoński, Wiesław Prażuch i Władysław Sławny. Z naszego regionu bliski jest mi Tadeusz Cyprian, poznański prawnik który miłośność do fotografii przedkładał nad inne obowiązki zawodowe. Jego podpis widnieje na kilku dyplomach jakie otrzymałem w związku z moim udziałem w różnych wystawach czy konkursach fotograficznych.

**– Skoro mamy takie dobre nazwiska, to teraz powiedz, co dla ciebie ma największą wartość spośród twojego własnego dorobku. Co chciałbyś ocalić od zapomnienia ze swoich fotograficznych peregrynacji?**

– Po namyśle dochodzę do wniosku, że naszym wspólnym ważnym przeżyciem fotograficznym, moim i żony, była wizyta w roku 1983 u Ojca Świętego w Watykanie. Była to audyencja prywatna w Sali Klementyńskiej dla grupy pielgrzymkowej, w której i my się znajdowaliśmy. Pamiętam jak dziś, wszyscy stoimy wzdłuż sali audiencyjnej, a ksiądz infulat Felicjan Kłoniecki, organizator naszej pielgrzymki, każdego z nas osobno przedstawia Ojcu Świętemu. Nazwisko, zawód, Ojciec Święty podaje pierścień do pocałowania i wręcza każdemu różaniec, i następną prezentacją. A gdy przyszła nasza kolej, ksiądz infulat mówi: „A to jest małżeństwo fotografów z Gniezna”. Ojciec Święty pyta, czy robimy zdjęcia na pielgrzymkach. Odpowiadamy, że tak, a papież na to: „No to róbcie, róbcie. Niech wam Pan Bóg błogosławi!”. I to były słowa skierowane tylko i wyłącznie do nas. Duże przeżycie. Przy okazji nie byłbym sobą, gdybym nie przemycił na audyencję aparatu fotograficznego. To pozwoliło mi w tym momencie stanąć u boku Arturo Mari, papieskiego fotografa, i zrobić parę zdjęć naszej grupie podczas tego pamiętnego, bezpośredniego spotkania z Ojcem Świętym. Ta historia z błogosławieństwem papieskim miała zresztą w naszym odczuciu ciąg dalszy. Wróciliśmy po pielgrzymce do domu, do pracy i ja usiadłem przed analizatorem barwnym do obróbki fotografii kolorowej pod powiększalnikiem. Kupiłem ten analizator przed pielgrzymką, ale w żaden sposób nie potrafiłem go uruchomić. Nie potrafił tego rozgryźć także, wspomniany już fotograf i elektronik Krzysztof Gross. To była dla nas absolutna czarna magia. Siadam więc po pielgrzymce nad tym urządzeniem bez specjalnej nadziei na sukces i nagle, nie myśląc co i jak robię, zaczynam ten analizator po prostu uruchamiać. Urządzenie zaczyna działać, a ja nie wiem, jak to się stało. Okazuje się, że umiem je obsługiwać, chociaż wcześniej tego nie potrafiłem.



**– Czyżby palec boży?**

– Nie wiem. Ale żona mi potem przypomniała to błogosławieństwo Ojca Świętego. Trudno w to uwierzyć, ale całe zajście z analizatorem wyglądało na ingerencję siły wyższej, bo ja do dzisiaj nie wiem, jak to się stało, że go wtedy uruchomiłem.

**– Co jeszcze chciałbyś ocalić dla potomności ze swojego życia fotografa?**

– Chyba tylko wspomnienia o tym, jak się kiedyś zdjęcia robiło, jak się pracowało w tych ciemniach, przy czerwonej żarówce.

**– Będzie ich tyle, ile udało się zmieścić także w tej rozmowie. Przyszła pora, abys opowiedział, jak to było z tym twoim pierwszym archiwum fotograficznym, które myszy ci zjadły.**

– To miało związek z wymuszoną przez sytuację, błyskawiczną naszą przeprowadzką z ulicy Farnej na Łubieńskiego. Całe ówczesne nasze archiwum zostało zapakowane do wiklinowego kosza i umieszczone tymczasowo na poddaszu jednego z budynków w Pyszczyźnie, w gospodarstwie rodziców mojej żony. A wtedy właśnie zaczęła się wyjątkowa plaga myszy. Gdy jakiś czas potem w poszukiwaniu potrzebnych mi zdjęć zajrzałem do tego kosza, znalazłem w nim już tylko papierowe trociny. Nie zostało nic.

**– I tym sposobem ważna część twojej dokumentacji przepadła bezpowrotnie.**

– Nieodwołalnie i ostatecznie.

**– Historia, jak widać, lubi się powtarzać. Oto na**

**szlaku piastowskim myszy najpierw zjadły króla Popiela, a tysiąc lat później twoje zdjęcia.**

– Na to wychodzi.

**– A rozmawialiśmy o tym w obecności pani Ewy Frankowskiej pod koniec sierpnia 2009 r., w Jankowie Dolnym.**

© K. Sz.

© M. F.





## Maciej Frankowski

Urodził się w 22 stycznia 1945 r. w Krakowie, dzień po wyzwoleniu miasta spod okupacji hitlerowskiej. Mieszka i pracuje w Gnieźnie.

Ukończył Liceum Plastyczne (na kierunku fotograficznym) w Gdyni-Orłowie. Po maturze odbył staż fotoreportera prasowego w redakcji gnieźnieńskiego tygodnika „Przemiany”. Tam poznał redaktorów Janusza Bińka i Wojciecha Staszewskiego, a także Janusza Chlastę, późniejszą legendę gnieźnieńskiej fotografii prasowej. Po odbyciu zasadniczej służby wojskowej wrócił do Gniezna, gdzie przy ulicy kanclerza Łaskiego założył swój pierwszy usługowy zakład fotograficzny pn. „Fotoplastyka”. Zakład z czasem został przeniesiony na ulicę Farną, a potem na ulicę Łubieńskiego 10, gdzie znajduje się do dzisiaj. Pierwszym aparatem M. Frankowskiego był czeski Flexaret.

W jego kolekcji znajduje się około 100 różnego typu kamer, które, choć sprawne, wyszły już z użycia.

Jest, obok Władysława Nielipińskiego, współanimatorem i współorganizatorem dorocznych spotkań środowiska gnieźnieńskich fotografów i fotografików.

Zimą, na przełomie roku 2008/2009, w Dużej Galerii Miejskiego Ośrodka Kultury w Gnieźnie zaprezentował (wspólnie z córką, synem i zięciem) imponującą kolekcję wielkoformatowych zdjęć kolorowych, będących reporterskim zapisem wyprawy do Egiptu. „Fotoplastyka” jest firmą rodzinną, w której na przestrzeni 30 lat szlify fotografa warsztatowego zdobyło dziesięć uczniów.



Fot. Władysław Nielipiński